

### III

## Wokół domu

## Próba powrotu

Jakżeż to? Dlaczego pierwsze obrazy, jakie wylaniają się z tamtych najdalszych lat, są tragiczne w wymowie? Dlaczego te wspomnienia najbliższe urodzin mają związek ze śmiercią?

A więc słoneczne popołudnie wiosenne. Któraś z trzech moich sióstr stawia mnie na parapecie okiennym w kuchni (doskonale pamiętam, że to było właśnie w kuchni), trzymając mnie pod pachami. Zjawia się w mej pamięci cudowna uroda świata, ujrzana z trzeciego piętra kamienicy. Poda mną sięgające drugiego piętra rozłożyste konary wiązów, których gałązki puszczają liście, rosnące jakby w oczach. Oszalała świeżość młodziutkiej, delikatnej zieleni, a pod nią perspektywa szerokiej ulicy Głogowskiej, której środkiem biegną dwie pary szyn tramwajowych. Na rozległych chodnikach bawią się dzieci. Oślepiająca jasność nieba, zapach świeżego powietrza. W głąb tej perspektywy biegnie śliczna, asfaltowana ulica Spokojna, a w bok od niej widać kawałek nie przesłoniętej narożnym domem ulicy Klonowicza, wille w ogrodach. Zachłystuję się radością, zaczynam podskakiwać na oknie, lecz trzymany mocno przez siostrę, podryguję

tylko w kolanach. Ona ściska mnie coraz mocniej, obejmuje mnie całego, wzdycha: „Jezu!” Dziś rozumiem, dlaczego tak westchnęła. Uświadomiła sobie, że urzeczony głębokim i szerokim przestworzem cudnego świata, skoczyłbym na pewno z wysokości trzeciego piętra prosto w jego ramiona, w ramiona wczesnej śmierci. I dziś aż mi żal tamtej śmierci nie spełnionej. Jak dobrze byłoby umierać z takim widokiem przed oczyma i z takimi uczuciami w sercu, zamiast mrzeć w szpitalu lub w bezradnym upadku na ulicy, co mnie przecież czeka.

Lecz zaraz widzę i śmierć spełnioną. To samo okno i też westchnienie: „Jezu!”. Tym razem od otwartego okna bije chłód, jest zima. Ulica Głogowska wypełniona po brzegi przeogromnym tłumem. Środkiem jezdni sunie szereg trumien, zarzuconych wieńcami i wiązkami kwiatów.

— Ta pierwsza to Franciszka Ratajczaka!

Pamiętam, że było to dokładnie tak powiedziane, choć wtedy nic nie rozumiałem, tak jak nie rozumiałem nic o powstaniu wielkopolskim. Wiedziałem tylko, że trumny zmierzają ulicą Głogowską ze śródmieścia na odległy cmentarz górczyński.

Lecz poza tym, że zabito trochę ludzi, kwitła sama radość z „wybuchu Polski”. Był u nas w domu bardzo długi okres oszołomienia wolnością tak szczerego i intensywnego, że nie zapomnę go do końca swych dni. A namacalnym śladem tej radości jest pewna pamiątka, wklejona do jednego z albumów, założonych w toku moich badań rodzinnych. Otóż jest to czterostronicowa ulotka. Na pierwszej stronie czarnym i czerwonym drukiem wybito z polskim orłem pośrodku następujący tekst: „Pieśni narodowe — Boże coś Polskę, Z dymem pożarów, Boże Ojczy — wydanie wojenne roku 1917 — Nakładem Księgarni W. Sobierajskiej,



Dom rodzinny autora w Poznaniu, ul. Głogowska 69

Poznań”. Wewnątrz znajdują się pełne teksty wymienionych pieśni.

Jest to najmilsza z moich pamiątek. Gdy miałem trzy lata, pieśni te śpiewano z takim przejęciem, z jakim nikt już nigdy ich nie zaśpiewa.

Sygnal „dzieciństwo” wyzwala we mnie kilka za każdym razem innych, lecz w podobnej scenerii dziejących się obrazów: podwórze, sień, pokój, kuchnia,

ulica Głogowska, łąka, może jeszcze park (wtedy ogród botaniczny) i pola wokół Łazarza. Ale właściwie cała moja inicjacja odbyła się na podwórzu. Chyba przede wszystkim tam kształtowały się moje więzi społeczne. Często nie wolno było wyprawiać się na pola, ba, bywały zakazy wyjścia na pobliską łąkę, podwórze, ostatecznie prawie zawsze dało się wyżebrać. Wystarczyło przecież, by w razie potrzeby mama wyszła do sieni i już przez okno, mając mnie na oku, mogła zawołać: Leonard, do domu!

Niekiedy, będąc w Poznaniu, idę do mego rodzinnego domu przy ulicy Głogowskiej 69. Oglądam z zewnątrz tę obskurną rudere, dziś już chyba najskromniejszą, najbrzydszą w całej okolicy. Wchodzę do ohydneho wnętrza, odrapanego i brudnego. Mam ochotę iść po schodach i zaglądać do znanych mi mieszkań, ale zajmują je przeważnie obcy ludzie, a przecież i tych dawnych znajomych nie ma co odwiedzać. O czym bym z nimi rozmawiał, kiedy nasze życia się rozminęły. Raz na parę lat wchodzę tylko do Czarneckich, wstąpiłem do Waligórskich, raz do starej Wolniewiczowej, która straciła pamięć ze starości, kiedy indziej do Stawskich.

Odwiedzam ten dom raz na parę lat. I wtedy śmielej wchodzę na podwórze, do ciasnej, obskurnej studni, leżącej poniżej poziomu ulicy, bo schodzi się na nie po kilku ceglanych stopniach, niemożliwie wydeptanych. Patrzą na obtłuczone tynki trzech oficyn i na piętrowy domek, zajmujący czwarty bok kwadratu. Nad domkiem wznosi się brzydka, ślepa ściana — tylna ściana oficyny sąsiedniego podwórza.

Ten kompleks ruder stanowił raj mojego dzieciństwa. Gdy w tej chwili przymykam oczy, przesuwają się przed nimi różne strzępki obrazów — niewyraźne, niekompletne, wichrzące się, jak gdyby naszkicowane na rozłazących się po niebie chmurach.

Na przykład ten obraz:

Kuchnia, mama przy garnkach, ja na podłodze z jakimiś zabawkami, najpewniej ze szpulkami po niciach, bo mama szyła i dla domu i na wynos. Nagle krzyki od strony podwórza. Mama otwiera drzwi, słyszy coś, woła „Jezus Maria!” i zbiega na dół. Ja wstaję i gramolę się do sieni. Schodzę na półpiętro, podchodzę do podwórzowego okna i wspinam się na palce, żeby zobaczyć, co się dzieje na dole. A tam ojciec trzyma obu rękami Jankę i wpatruje się w jej twarz. Matka już dobiega do niego. Z okrzyków i rzuconych bezładnie zdań dowiaduję się, że ojciec rąbał drewno na opał, a jakiś odłamek uderzył w twarz stojącą obok moją średnią siostrę, która zanosila do piwnicy naręcza drew. Wszyscy mówią o oku. Ale po minucie, dwóch, gdy mama idzie z nią po schodach na górę, wiadomo już, że oczy są całe i tylko trochę przetrącony nos. Ja jednak ze zgrozą myślę o uderzającym w twarz kawałku drewna i o wielkiej, ostrej, ciężkiej siekierze, której nigdy nie wolno mi było nawet dotknąć. W dodatku mama, przechodząc z Janką obok mnie, lamentuje:

— Jeszcze kogo zabije, stary pierun. Już raz mu siekiera spadła z trzonka i o mało co poleciałaby Stawskim w okno. Żeby tak nie uważać!

To jest pierwsza scena z podwórza, którą pamiętam, a zarazem jedna z pierwszych scen dzieciństwa. A więc znowu pełna grozy. I zaraz podobną grozą przeszywa wspomnienie czyjegoś wrzasku: „Stefan się utopił!” i skok matki do drzwi, i dopiero czyjeś wyjaśnienie w sieni: „To nie pani syn, to Stefan Waligórskich”. Chodziło więc o syna sąsiadki. Przeto mama wraca do kuchni, trzymając się za serce, ciężko dyszy, a po chwili opada bezwładnie na krzesło i głowa jej leci na piersi. A od podwórza dobiegają dalsze wrzaski na temat utonięcia tego wesołego, dziesięcioletniego chłop-

ca, który lubił mnie i często podnosił w górę z radosnym uśmiechem.

Następne obrazy to zabawy na podwórzu i moje rośnięcie razem z nimi. A więc koziołki wywijane na sztendrze czyli na stojaku do trzepania chodników. A więc gonitwy, gra w chowanego, potem w szklane kulki i bejmy, czyli rzucanie monet o ścianę. Potem już drużynowa gra w złodziei i policjantów. I inne drużynowe gry, także ze śpiewami: „Budujemy mosty”, „Kto się boi czarnego luda”. To wszystko z wrzaskiem, z krzykami, które nie przeszkadzały nikomu z wyjątkiem starej gospodyni, mieszkającej zresztą najdalej, w specjalnym mieszkaniu parterowym tylnej oficyny, z oknami wychodzącymi na znajdujący się za tą oficyną ogród, którego nie widziałem nigdy w życiu.

Gospodarz albo gospodyni wychodzili czasem na podwórze wygrażając pięściami. Byli to spolszczeni Niemcy, najprawdopodobniej pochodzili z tych bambrow, którzy stali się poznańskimi patriotami. Pierzchałiśmy na ich widok do klatek schodowych i do „wrót” wołając: „Ele mele dudki, gospodarz malutki, gospodyni garbata, a jej córka smarkata”. Czasem sami prowokowaliśmy taką scenę. Ktoś z najodważniejszych podchodził cichaczem przez szeroką bramę pod drzwi gospodarza, pukał w nie i uciekał.

Spłoszeni z podwórza, bawiliśmy się po cichu w korytarzach ciemnych piwnic, które nie miały okien i ciemnica w nich panowała idealna. Gdy byłem mniejszy, słyszałem czasem w tej ciemnicy tylko dziewczęce chichoty. Gdym już zaczął chodzić do szkoły, wiedziałem, co trzeba czynić w piwnicy, mając blisko siebie dziewczynkę. Zbliżywszy się do Reginy Grześkowiakówny lub Irenki półniemowy, sięgałem pod sukienkę i wodziłem ręką między nogami dziewcz-

czynki, wcale nie rozumiejąc po co i nie pojmując, co tu jest do chichotania. Ale miało to ostatecznie sens nie gorszy niż te różne mętowania czyli wyliczanki, jak na przykład: „Raz-dwa-trzy, ty masz wszy, a ja nie, ty masz dwie na łbie”.

Dziś z perspektywy lat najbardziej urzekają mnie widoki podwórza, oglądane przez małe okienko półpiętra. Na niskim parapecie tego okienka zasiadałem do zabaw z Wandą Żytkowiakówną z pierwszego piętra (córką Wolniewiczki, która miała drugiego męża, strażaka) lub Irenką Jencykówną, mieszkającą tuż obok nas na trzecim piętrze.

Pamiętam, tam daleko na dole odzywało się nagle znajome klepanie. Odwracałem się szybko, jak na umówiony sygnał. Życie podwórza wydawało mi się serią obrazów przeznaczonych dla moich oczu — jak film. Nie wolno było dopuścić do tego, by toczyło się bez celu, nie oglądane przeze mnie. Wierzyłem, że zaczyna się z chwilą mojego wejścia na półpięterko, a kończy się wraz z moim powrotem do domu. Choć czasem bywało odwrotnie: życie podwórka dawało donośny sygnał i wtedy musiałem bezwzględnie wyjść z domu, by podsycać je swoim patrzeniem. A klepanie? To stary bednarz klęczał na ziemi w swym szarym, podartym ubraniu, schylony nad balią ze świeżych, bielutkich klepek i przesuwając małą deseczkę z miejsca na miejsce, obstukiwał ją dużym, drewnianym młotkiem. Długie, siwe wąsy kołysały się po obu stronach dobrotliwie pogodnej twarzy, a czapka rytmicznie opadała daszkiem na czoło tak, że stukający raz po raz musiał przerywać robotę, by zsunąć czapkę na tył głowy.

Gdy staremu bednarzowi zabrakło czegoś, szedł do swego warsztatu. Kierował się ociężałym krokiem ku blaszanemu daszkowi. Pod daszkiem były rozchylone

drzwi, za którymi biegly schody w dół, do piwnicy. Tam to mieścił się pełen tajemnic warsztat bednarski. Zakurzone, strzegące tajemnic okna wychodziły na obmurowane zagłębienie podwórza, zabezpieczone żelazną poręczą.

Cóż jednak dzieje się teraz? Oto spod daszka bednarskiego warsztatu wychodzi syn bednarza z garścią wiórów w ręce. Był to chłopak wysoki i kościsty, miał na sobie kusą marynareczkę i przykrótkie spodnie, sięgające powyżej kostek, a na głowie taką samą jak ojciec czapkę z daszkiem.

Młody bednarz podszedł do odwróconej do góry dnem beczki, która opodal trzepaka stała na ułożonych ceglach. Nachylił się głęboko i zgnieciony pęk białych, drewnianych wiórów wsunął pod beczkę. Potem przyklęknął na jedno kolano, zapalił zapalkę. Po chwili kłęby biało błękitnego dymu zaczęły wypływać leniwie spod beczki i powoli wznosić się w ciasną studnię podwórka. Dym pełzał po ziemi, lizał mury i piał się po nich.

Działo się na podwórzu jeszcze wiele innych ciekawych rzeczy, lecz równie frapujące było jego najbliższe otoczenie. Przede wszystkim podwórze sąsiadowało z „wrotami”. Co prawda jeszcze bardziej od wrót frapującym miejscem było sąsiednie podwórze, lecz oddzielone zostało dwiema drewnianymi bramami i zapuszczanie się tam należało do zupełnych rzadkości.

Nazwa „wrota” bynajmniej nie dotyczyła samych wrót, czyli olbrzymiej drewnianej bramy, zamykającej wjazd z ulicy do dwóch sąsiadujących z sobą posesji nr 69 i 71, lecz nie zabudowanej przestrzeni między frontowymi skrzydłami tych posesji, przez którą wóz z węglem lub drewnem opałowym mógł wjechać w jedno lub drugie podwórze. Na zabawę w tej wąs-

kiej uliczce, ograniczonej dwoma wysokimi murami bez okien, mówiło się: „bawić się we wrotach”.

Ponieważ teren we wrotach opadał nieco od ulicy do podwórza, więc nadawał się do gier i zabaw. Współzawodnicząc tam kiedyś w rzucaniu wielkim kamieniem, opuściłem go sobie na stopę. Bolało jak palenie ogniem. Kuracja trwała długo, zlazły mi wszystkie paznokcie.

Lecz przede wszystkim wrota, ponieważ nie było w nich okien, nadawały się do gier w piłkę i w klipę. Piłki były oczywiście szmaciane. Klipę i należący do niej sztekel wystrugiwał sobie każdy w domu z drewna opałowego. W ogóle nie znaleźmy gotowych zabawek. Do zabawy w kulanie obrączki służyły na przykład stare obręcze z beczek. Wózek montowało się ze skrzynki i kółek różnego rodzaju, nie wyłączając kolejowych kółek z poboczy torów, na których naciągnięte są druty. A bywały i takie nawet wózki, którymi po asfalcie zjeżdżało się z pochyłej ulicy Spokojnej prosto na szyny tramwajowe. Lalki ze szmat wykonywały dziewczęta lub ich matki. A w ogóle zabawkę stanowił każdy odpadek, z którego dało się coś zмайstromać. Do najidealniejszych należały drewniane szpulki po niciach, pudełka od zapalek i od pasty do obuwia, stare sznurki i tak dalej. Na przykład dwa blaszane pudełka po paście, z odpowiednio zrobionymi otworami, połączone długim szpagatem, stanowiły znakomity telefon. Nawet najdłuższy szpagat — odpowiednio naciągnięty — przewodził fale głosowe, jeżeli po drodze nie dotykał niczego.

Osobny rozdział na podwórzu stanowiła gemyła, czyli śmietnik. Był to duży, murowany pojemnik z blaszaną klapą do zamykania i z żelaznymi drzwiczkami do wydobywania zawartości. Opróżnianie śmietnika zdarzało się rzadko, bo praktycznie wrzucano do niego

tylko popiół z pieców. Liczne odpadki spalało się w domu, przydawały się nawet na podpałkę. Opakowania szklane i blaszane zbierało się do domowych potrzeb. Obierzyny z warzyw i kartofli odkładało się dla górczyńskich gospodarzy, których synowie przychodzili z workami. Śmietnik nie był więc szczególnie niehigieniczny. Dlatego rodzice nie gorszyli się zabawami przy tym obiekcie. Ba, pamiętam okoliczności, gdy stawał się on centralnym punktem życia społecznego nie tylko mieszkańców kamienicy, lecz i sąsiedztwa. Służył mianowicie jako scena.

Działo się to chyba w dwóch, trzech pierwszych latach po wyzwoleniu Polski, a więc w latach 1919—1921, gdy radość z możliwości nieskrępowanego posługiwania się językiem ojczystym i porozumiewania się na płaszczyźnie narodowej osiągnęła swój zenit. Pamiętam kilka samorzutnych festynów, połączonych z przedstawieniami: jeden na naszym podwórzu, u Gensleroków (od właściciela kamienicy Genslera), drugi u Hazoków (właściciel Haze, też Niemiec), czyli za wrotami, inny jeszcze w podwórzu bliżej śródmieścia, chyba tam, gdzie Babst miał piekarnię.

Na śmietniku rozkładało się drewniane boki konnego wozu, poszerzając tym powierzchnię sceny. Dekorację malowano na rozłożonych pudłach kartonowych. Na rozpiętym między tymi dwoma drążkami drucie wisiała kurtyna z prześcieradeł. W ogóle kurtyna była w tym wszystkim najważniejsza, ważniejsza od całego spektaklu. Kostiumy przygotowywali sobie ci, którzy występowali jako artyści. Całe podwórze udekorowane było lampionami i sztucznymi kwiatami, rozwieszonymi na sznurkach. Przedstawienie było chyba składanką skeczów, monologów, piosenek, tańców. Wśród instrumentów muzycznych pamiętam grzebienie, pokrywki, kocioł do gotowania bielizny, bo o prawdziwych

instrumentach nikt nawet nie marzył. Po spektaklu odbywała się zabawa taneczna. Pobierano nawet niewielką opłatę za wstęp, przeznaczając dochód na zbożny cel, jakim była działalność Towarzystwa Czytelń Ludowych, symbolizującego polskie trwanie. Na ten cel szedł dochód z loterii fantowej, na którą zbierano fanty już dwa tygodnie wcześniej. Szczęście w takiej loterii polega przede wszystkim na tym, by nie wygrać tego, co się samemu złożyło.

Teatr amatorski towarzyszył mi przez kilkanaście lat życia. Do repertuaru zabaw domowych należały różne przedstawienia i jasełka, podobne zupełnie do tych, które oglądało się w salce parafialnej obok kościoła albo w auli szkolnej, a w których siostry moje występowały jako anioły. Duchem przedstawień domowych, ich twórczynią i reżyserem była Irena, najmłodsza siostra. Prócz jasełek tworzyła ona, na przykład, inscenizacje najpopularniejszych bajek i piosenek. Jeden z pokojów stanowił widownię, drugi scenę. Zawieszona na drzwiach kapa z łóżka stanowiła granicę między światem widzów a światem aktorów, a zarazem kurtynę. Najtrudniejszą sprawą było zawsze zwerbowanie widzów, bo do tej roli pozostawali już tylko rodzice.

Pamiętam, musiałem mieć około piętnastu lat, bo grałem już wtedy na skrzypcach, gdy występowałem na scenie salki parafialnej podczas przedstawień, organizowanych przez grupę ministrantów. Sam, co prawda, ministrantem nie byłem i dopiero w seminarium nauczycielskim musiałem odrobić swoją dolę przy ołtarzu, lecz wciągali mnie do tej salki bracia Jędrzejczakowie: Czesław i Ludwik. Ten ostatni zawsze był blisko kościoła i do dziś pełni honorowo funkcje zakrystiana. Gdym w toku swych studiów rodzinnych chciał kupić zdjęcia kościoła Matki Boskiej Bolesnej na Łazarzu, natknąłem się na niego i od niego właśnie

je nabyłem. Ale wracając do wspomnień, tamte przedstawienia były też przeważnie składankami, złożonymi głównie ze skeczów. Nie zapomnę jednego z nich. Występowałem przed sądem jako niemowa, który na pytania sędziego odpowiadał melodiami granymi na skrzypcach. Nauczyliśmy się tego skeczu z płyty gramofonowej.

Jeżeli chodzi o życie „artystyczne” podwórza, to miało ono i swe codzienne przejawy. Największą atrakcją bywał wędrowny kataryniarz. Noszoną na plecach katarynkę, przytroczoną szerokim pasem, stawiał na ruchomej nodze i kręcąc korbką dobywał z instrumentu parę melodii operetkowych. Był jeszcze radośniej witany, gdy towarzyszyła mu bujająca się na drążku papuga albo siedząca na jego barku małpka. Zwierzę ciągnęło wygrane, to znaczy pierścionki, grające koguciki i tym podobne albo horoskopy.

Częściej od kataryniarzy pojawiali się wędrowni śpiewacy. Jednych lubiło się mniej, innych bardziej. Pamiętam takiego rzekomego niewidomego (bo tych rzeczy nigdy nie wiedziało się na pewno), któremu towarzyszyła dziewczynka, może dziesięcioletnia. Czy to nie była moja pierwsza miłość? Chodziła po podwórzu i zbierała rzucone z okien monety, koniecznie zawinięte w papier. Śpiewała zawsze jedną z piosenek razem ze swym podopiecznym. Słuchałem ze wzruszeniem jej dziecięcego głosu, z przejęciem wpatrywałem się w jej drobną twarzyczkę i współczułem temu dziecku, i zazdrościłem mu podwórkowych sukcesów. Może bardziej zazdrościłem? Poszedłbym z nią na koniec świata. Marzyłem sobie, by na mnie ludzie czekali w oknach kamienic, jak na nią.

Do wędrownych atrakcji podwórka należeli też rzemieślnicy i handlarze. Ich okrzyki i wołania rozbrzmiewały po kilkanaście razy dziennie.

- Szmaty skupujęęę!
- Flaszki! Flaaaszki skupuuuuję!
- Węgle! Węęęgle!
- Garnki drutuję!
- Noże! Nożyycyki! Oostrzę!

Ten nosił z sobą worek na plecach, ów skrzynkę z narzędziami. Niektórzy mieli ręczne wózki własnej roboty. A gdy węglarz wykrzykiwał swoje na podwórzu, przed domem na jezdni stał jego ładowny wóz zaprzężony w konia. Jeżeli ktoś zamówił u niego węgiel, węglarz wystawiał wagę dziesiętną, napełniał duży kosz czarnym towarem, zarzucał brzemię na plecy i niósł, gdzie trzeba. Ostrzyciel stawiał na podwórku kołowrotek, poruszany pedałem, i zachęcał do korzystania z usług śpiewem syrenim, dobytym za pomocą metalowego pręta, wibrującego na wirującym kamiennym kole.

To były moje pierwsze przeżycia artystyczne i pierwsze kontakty z szerokim światem. Wyprzedzały je tylko domowe pieśni i bajdy. Domokrażcy to byli aktorzy na scenie podwórka. Kataryniarze i śpiewacy — soliści muzyczni. Podwórkowy festyn — pierwszy musical. Chodzili też przecież i sztukmistrze, choć o wiele rzadziej. Popisywali się gimnastyką akrobacyjną i iluzją. To był mój pierwszy cyrk. A wszystko razem stanowiło pierwszy świat wzruszeń wyższych, bo bezinteresownych. Czy ten prymitywizm formuły artystycznej nie pokutuje do dziś w mej duszy? Wydaje mi się, że tak. Przyznaję się, że wciąż jeszcze uwielbiam cyrk.

Najbardziej uduchowioną, pełną patosu postać owego czasu spotykałem na ulicy i to jedynie na Głogowskiej, na odcinku od ówczesnego Odskoku (przy poczcie obok dworca zachodniego) do ulicy Jeskego, inaczej mówiąc Niegolewskich. Niestety, tu znowu nazwa nie-

miecka, ale też postać stanowiła relikw z niemieckich czasów. Był to Rosenkavalier.

Rosenkavalier był chudym, wysokim mężczyzną, którego dziś chce mi się porównać z Don Kichotem. Ubierał się w czarny surdut i wąskie spodnie, sięgające zaledwie kostek. Na nogach nosił spiczaste półbuty. W butonierce tkwiła nieodłączna róża. Ziemista twarz promieniowała uduchowieniem, jakby jej właściciel pozostawał w stałej ekstazie. Chodził też ten człowiek krokiem lunatyka. Było w nim coś wzniosłego, napawającego lękiem, lecz zarazem i komicznego. Można by go traktować jako pierwowzór Charlesa Chaplina. Najważniejszy jednak rekwizyt związany z postacią Rosenkavaliera to pudełko z różami, które niósł przed sobą w dłoniach na wysokości piersi.

Nie mogę sobie przypomnieć oczu tego człowieka, wydaje mi się, że miał je zwykle zamknięte albo przyknięte i poruszał się jakby po omacku, choć na pewno nie był niewidomy. Nie słyszałem nigdy jego głosu, lecz prawdopodobnie był nie rozumiejącym po polsku Niemcem i to stanowiło jakiś dodatkowy element tragiczności tej postaci z innej epoki. Nie widziałem też nigdy, by ktoś kupował od niego kwiaty. Lecz niewątpliwie jacyś kawalerowie musieli je kupować dla swych pańienek. Dla mnie był on i pozostał uosobieniem wszystkiego co wzniosłe. Symbolem podobnym do tego, jakim nieco później stał się Leon Puzicki.

Leona Puzickiego poznałem dopiero, gdy przyszedłem do seminarium nauczycielskiego. Uczęszczał on na któryś wyższy, chyba trzeci kurs. Ten muzyczny i poetycki geniusz zostałby na pewno artystą o sławie światowej, gdyby nie zmarł w wieku kilkunastu lat na gruźlicę. To moje mniemanie o nim potwierdził Jerzy Młodziejowski, jeden z autorów zbioru wspomnień

„Poznańskie wspominki 1918—1939”. Wymienia on Leona Puzickiego jako jednego z członków kwartetu, w którym grał między innymi Arnold Rezler. Musiał więc mój seminaryjny kolega uczęszczać równocześnie do konserwatorium muzycznego. I coś takiego sobie przypominam.

Leon Puzicki mieszkał — jak i ja — na Łazarzu, lecz nie mogę sobie przypomnieć, przy jakiej ulicy. Był pięknym, uroczym człowiekiem. Przepadałem za jego koncertami skrzypcowymi na uroczystościach i nabożeństwach szkolnych w auli przy ulicy Franciszka Ratajczaka oraz za wierszami, publikowanymi w naszym szkolnym piśmie „Życie radosne”. Wierszami zachwyciałem się, choć dziś już nie pamiętam ich klimatu. Wiem, że zazdrościłem ich poecie i marzyłem o tym, by pisać takie. A jego gra na skrzypcach wydawała mi się czymś niedoścignionym. Zresztą dla mnie stanowiła jakby syntezę poezji. Wzruszała wszystkich. Gdy Leon grał w niedzielę na mszy, stojąc obok fisharmonii, przy której siedział profesor Janusz Nowak, były momenty, że wszystkie oczy, w tym i oczy profesorów siedzących w dalekim pierwszym rzędzie, zwracały się na niego. Ksiądz Tadeusz Nowakowski wtedy marszczył gniewnie czoło, zwracając się do sali z *Dominus vobiscum*.

Gdy ochłoniąłem z oszołomienia na wieść o śmierci Leona Puzickiego, gdy minęło dni kilka od jego wspańiałego pogrzebu, doszedłem do wniosku, że tak wielki artysta nie mógł żyć, musiał umrzeć. Świat jest zbyt brutalny, zbyt okrutny dla duszy tak wzniosłej i subtelnej. Toteż zazdrościłem mu jego pięknej śmierci w pełni chwały. Gdy o nim myślę, widzę go idącego ścieżką w ogrodzie botanicznym (w późniejszym Parku Wilsona, dzisiejszym Kasprzaka). Rozmawiałem z nim wte-

dy o tym, dlaczego nie chodzi do szkoły i dowiedziałem się, że po leczeniu w szpitalu przebywa na rekonwalescencji.

To była ostatnia moja rozmowa z Leonem Puzickim. I na to wspomnienie budzi się we mnie bunt i mówię sobie, że okrutne są tajemne siły zaświatów, jeżeli mogą zniszczyć formę życia tak wspaniałą i bujną. A swoją drogą — odwracając tok myślenia — ilu mielibyśmy wielkich ludzi, gdyby sama struktura psychofizyczna artysty nie była często tak krucha i wiotka?

## Z mamą

Wyciągam swoje małe rączki, biegnę do ciebie po twardych płytach chodnika ulicy Głogowskiej w dobrotliwym cieniu wysokich wiązów, bez których świat mój nie mógłby istnieć jako całość. A ty pochylasz się i też wyciągasz swoje ręce, a gdy spotykają się z moimi, podnosisz mnie i tulisz do swych piersi. A potem stawiasz mnie z powrotem na chodniku, z brązowej portmonetki wysupłujesz jakieś fenigi i podajesz mi je. A ja z nimi biegnę do sklepiku pani Borakowej w naszej kamienicy. Małe okienko wystawowe i oszklone drzwi, dzwoniące przy otwieraniu, aby kupcowa słyszała tam, na zapleczu.

A gdy wchodzę, otwiera się przede mną tajemniczy świat jadalnych cudowności, choć nie tylko jadalnych, bo nieodparcie ściąga moją uwagę duża beczka metalowa, pachnąca naftą, wyposażona w ręczną pompkę ze szklaną miarką. Lecz najbardziej przyciągają ku sobie wzrok duże szklane słoje z karmelkami, każdy z innymi, aż trudno wybrać. Tymczasem jednak pani Bora-

kowa tłustą ręką wprawia w ruch ową pompkę i szklana miarka napełnia się żółtym strumieniem nafty, który spływa w mgnieniu oka do butelki.

Słoje z karmelkami stoją rzędem na przestronnej ladzie, nakrytej niebieską ceratą. Zawartość każdego błyszczy inną barwą. W jednym tłoczą się kwadratowe płytki miodowe, w drugim takiego samego kształtu płytki czerwone, posypane siwym makiem, w następnym żółte plasterki cytrynek, w dalszym malinki i jeszcze dalej czarne „na kaszel”, zielone agreściki, białe fasolki i inne, których barwy, kształty i smaki są nie do pojęcia. Każdy kolejny słoje przykryty ciężką pokrywą z grubego szkła. Gdy podaję swój miedziany fenig, pani Borakowa spogląda mi pytająco w oczy. Szepczę nieśmiało:

— Miodowych.

Kupcowa otwiera pokrywę i z suchym grzechotem nabiera karmelki błyszcząca, blaszaną szufelką. A potem na moją rączkę sypią się cztery złociste kwadraciki.

Najsmakowitszy jednak jest czerwony cukier. Pełno go w wielkim, kamiennym garncu, stojącym w kącie dużego pokoju, między szyfonierką a ramą drzwiową. Garniec jest przykryty drewnianą pokrywą i białą szmatką. Cukier w nim wilgotny i zrudziały jak zarzewiałe żelastwo. Mama używa go do wypieków i gotowania, do smażenia marmolady z jabłek, a czasem i do słodzenia mlecznej kawy, choć do tego raczej służą bielutkie pastylki sacharyny.

Do garnca nie było łatwo się dostać. Tylko niekiedy, gdy na krótki czas zostawałem sam w domu, z bitem serca zdejmowałem białą szmatkę i drewnianą pokrywę, by zaczerpnąć szczyptę rudych kryształków. Smakowały inaczej niż biały cukier. Ich słodycz zaprawiona była cierpkim, lecz miłym smaczkiem, przypo-

minającym jakby spaleniznę. Było to smaczniejsze od wszelkich słodczy, zwłaszcza gdy po kryjomu zdobyte. Dziś wiem, że w okresie rozruchu cukrowni tuż po wojnie, zapewne z powodu braku siły roboczej, sprzedawano część półproduktu, który nie szedł już do rafinowania.

Ze sklepu idziemy z mamą ulicą Głogowską i przy niej wszystko na tej ulicy jest jeszcze ciekawsze i piękniejsze niż zazwyczaj. Tu sklep z cukierkami, a przez szybę widać śliczną panienkę, którą raz tylko spotkałem na ulicy i wtedy dowiedziałem się, że jest kulawa. Ach, jak mi jej było żal!

A po drugiej stronie ulicy, nad mroczną witryną wisi tajemniczy zegar, często wspomniany w domu. Gdy zaistnieje jakaś wątpliwość co do prawdomówności domowego zegara ściennego, wtedy zawsze pada pytanie:

— A która godzina jest u Własnego?

Wtedy czasem posuwa się wskazówkę zegara kołyszącego błyszczącym wahadłem.

Chudy pan Własny wyszedł akurat ze swego sklepu i wita się z podchodzącym do niego fryzjerem w białym fartuchu. Idą teraz razem i mijając sklep z kapełuszami zbliżają się do fryzjerni, nad której wejściem pod podmuchami wiatru kołysze się złocisty, krągły talerz. A tuż obok, na samym rogu ulicy Spokojnej, wielkie szyby drogerii kuszą butelkami, puderkami, pudełeczkami, z których zapewne wydzielają się te uchodzące otwartymi drzwiami urzekające zapachy.

Dlaczego tak wcześnie zacząłem uciekać z domu? Jak to się stało? Jak do tego doszło? Kiedy nastąpiła moja pierwsza ucieczka? Ile miałem wtedy lat? Prze-

cież byłem zupełnie malutki i w towarzystwie dziewczynek bawiłem się jeszcze lalkami.

Jencykowie mieszkali na trzecim piętrze, tak jak my i tak jak my mieli okna wychodzące na ulicę. Nasze kuchnie sąsiadowały ze sobą przez ścianę. Gdy wychyliło się głowę oknem, można było czasem ujrzeć w najbliższym oknie głowę Jencykowej albo Irenki. W ich mieszkaniu nigdy nikt z nas nie był, Jencykowie żyli w oparach jakiejś nieodgadnionej tajemnicy. Z Irenką Jencykową spotykałem się — jak i z Wandą z pierwszego piętra — na półpięterku po drodze na strych. Wtedy zresztą ona była mi bliższa od Wandy, spotykaliśmy się z nią częściej.

Tego dnia bawiliśmy się, jak zwykle, na parapecie niskiego okienka. Pamiętam dobrze ten dzień. Podawałem mojej przyjaciółce lalkę, gdy nagle któraś z sióstr zawołała mnie do domu. Wykrzyknąwszy moje imię, zamknęła drzwi.

Zacząłem iść po schodach w dół. Stałem pod drzwiami mieszkania. Brązowa płaszczyzna, opatrzona metalową tabliczką z nazwiskiem i skrzynką na listy. Nagle zapragnąłem odejść od tych drzwi, które wydały mi się ni stąd ni zowąd więzieniem, klatką, czymś nienawistnym. Nie mogę sobie jasno uświadomić, jak to się stało i co mną kierowało. Skoczyłem ku schodom, pochwyciłem szczebel poręczy i zacząłem zbiegać na dół tupiąc trzewikami w metalowe listwy. Na drugim piętrze usłyszałem zdziwiony głosik Irenki, która jeszcze nie zdążyła wejść do swego domu. I zaraz w następnej chwili przeciągłe wołanie, takie samo jak przedtem:

— Leonaaard! Do dooomu!

Pierwsze piętro, parter i oślepiło mnie światło ulicy. Zacząłem biec. Bez namysłu przemierzyłem jezdnię, dopadłem asfaltu ulicy Spokojnej. Pokonywałem ją.

Wiedziałem, że tym razem na jej końcu, jakby na szczycie, czeka mnie zwycięstwo. Wyspiewywałem w sobie wszystkie daremne wołania domowników: Do domuuuuuuu! Do doooooomu! Oglądałem w wyobraźni zaaferowane miny szukających mnie, rozbiegających się po całym Łazarzu sióstr. Uśmiechałem się do tych wyobrażeń. Cieszyło mnie to, że będą mnie tak szukali. Pośpieszałem z tym większym zapałem. Uciekałem od nudy domu, od płaczu matki, od czego jeszcze? Równocześnie szarpała moje serce pamięć ciepłego pieca, słońca wpadającego do pokoju i piosenki śpiewanej w takt podrygiwania na matczynym kolanie:

Jedzie pan na koniku sam, sam, sam  
sługa za nim ze śniadaniem  
patataj, patataj, patataj!

Dobiegłem do końca ulicy i stanąłem przed ogromnym gmachem szkoły, rozsiadłej kilkoma gmachami wśród drzew za parkanem. Powrót do domu był w tamtym czasie rzeczą nieuniknioną. Na szczęście miałem przyjaciółki, z którymi przeżywałem swe skryte radości.

Była Wielkanoc. Płachtę starej gazety niosłem w obu rękach. Mama kazała mi położyć ją na okiennym parapecie, żebym nie pobrudził czystego ubranka. Szedłem cichutko na palcach i trzymałem papier delikatnie, by nie wypadł z niego prezent. Na górze wyjąłem z niego żółty, pulchny kawałek piaskowej babki. Oddarłem trochę papieru, położyłem go na środku parapetu i umieściłem na nim ciasto. Resztę arkusza rozpostarłem na boku i usiadłem na nim.

Zagwizdałem. Umówiłem się z Irenką na „po święconce”, ale nie było mowy o prezentach. Serce biło mi niespokojnie. Ciekaw byłem bardzo, jaką minę zrobi

Irenka zobaczywszy niespodziankę. Gdy zagwizdałem jeszcze raz, po chwili wyszła z domu. Wyglądała ślicznie. Miała na sobie niebieską sukieneczkę z falbankami, na której błyszczał gładki, biały fartuszek. Na zgiętym ramieniu niosła dwie szmaciane lalki, te jej stare lalki z oczkami zaznaczonymi poślinionym kopiowym ołówkiem i ze śladami warg z buraczanego soku. W drugiej ręce trzymała czerwone jajko. Pomyślałem, że może to też prezent, ale nie śmiałem zapytać.

Weszła po stopniach na górę, zbliżyła się do okna. Uśmiechnęła się tak jakoś inaczej niż zwykle, spojrzała na leżące ciasto i zapytała:

— Przyniosłeś babkę?

— Tak, prezent dla ciebie.

— A co to jest prezent? — spytała, lecz nie czekając na odpowiedź, przeniosła wzrok na swoją pisanekę, a potem znów na mnie. Nie powiedziała nic, więc zapytałem:

— A ty przyniosłaś jajko?

— Tak. Masz, weź, to dla ciebie.

Wstałem prędko, odebrałem jajko z jej rąk i położyłem na oknie. Następnie pochwyciłem ciasto i podałem jej. Wzięła szybko i zaczęła podskakiwać w miejscu, to zginając, to prostując kolanka.

— Mam zjeść? — zapiszczała.

— Zjedz — zezwoliłem. — A jajko zjemy razem na końcu.

Posadziła lalki na parapecie i natychmiast ugryzła ciasto, smakując je długo w ustach. Poczułem się szczęśliwy i prawdziwe święto zapanowało we mnie dopiero teraz. Więc przedarłem gazetę na dwie części i rozłożyłem je po obu stronach okna. Następnie posadziłem lalki w środku, a sami siedliśmy w kąciakach. Na papierku obok lalek ułożyliśmy resztę ciasta i jajko.

— Wiesz co? — zawołała Irenka. — Będziemy się bawili w gości. Ja będę gospodynią, a ty gościem. I lalki też gościem.

Zaskoczyła mnie tą propozycją. Nie odpowiadałem, więc pociągnęła mnie za rękę i sprowadziła po schodach na piętro. Pouczała, co trzeba robić. Potem sama wbiegła szybko z powrotem na górę i tam krzątała się z poważną miną.

Podszedłem kilka stopni w górę, na przedostatnim zatrzymałem się i zapukałem w drewnianą poręcz schodów jakby w drzwi. Irenka stanęła nieruchomo, poprawiła włosy i fartuszek, wreszcie zawołała:

— Proszę!

Powiedziawszy to, zbliżyła się do mnie.

— Dzień dobry — odpowiedziałem, wchodząc z ostatniego stopnia na półstryszek.

Ceremoniał gościnny toczył się dalej. Opowiadaliśmy sobie nawzajem o domowej święconce. O dzieleniu jajkiem, o jedzeniu kielbasy i jajek. Nagle ona ożywiła się, jakby się jej coś przypomniało. Dotknęła jajka i ciasta, które leżały na gazecie. zaproponowała:

— Poczęstuj się, bo ty jesteś gościem.

Jedliśmy, jadły także lalki. Smakowało o wiele bardziej niż w domu. Gryźliśmy na zmianę, a Irenka przykładła babkę również do buraczanych ust lalek.

Po jedzeniu przyszała pora na odpoczynek. Rozsiedliśmy się wygodnie na niskim parapecie. Lecz wtedy zapiszczały w zawiasach drzwi naszego domu i rozległ się głos:

— Leonard, do domu!

Trzeba było iść. Skorupki jajka zostały na parapecie. Podnieśliśmy się z ociąganiem. Irenka podeszła do mnie z uśmiechem i wyszeptała:

— Musimy się pocałować na do widzenia. Nie widziałeś, jak się ludzie całują?

